

Dziewiątki i siedemnastki cz.1 — andres

Od autora: Poniższą minipowieść wydobyłem z szuflady po przeszło dwudziestu latach. Dokonałem kilku drobnych poprawek stylistyczno-interpunkcyjnych. Reszty nie zmieniałem. Tekst, z uwagi na długość, podzieliłem na dwie części.

Dziewiątki i siedemnastki

cz.1

Do Miasta przyjechałem pod koniec września. Za dwa dni miał się rozpocząć nowy rok akademicki, a ja miałem zostać studentem jednej z tutejszych wyższych uczelni.

Pokój wynająłem w starej, zniszczonej kamienicy, położonej gdzieś na peryferiach. Z jej okien widać było oddalony o jakieś dwieście metrów duży plac targowy, na którym, mimo deszczu i błota, koczowali chłopcy z całej okolicy, sprzedając ziemniaki, cebulę i marchew. Znudzeni panującą w godzinach małego ruchu beczynnością chodzili często na piwo do pobliskiego baru. Można tam było też zjeść smażoną rybę, z czego niekiedy korzystałem.

Stan wynajętego przeze mnie pokoju niewiele różnił się od stanu kamienicy, której był częścią. Podobnie jak cały budynek, pokój był brudny i dawno niemalowany. Skromne umeblowanie składało się z dużej szafy, zakurzonego łóżka oraz stołu, zajmującego wraz z dwoma krzesłami środek pomieszczenia. Ponadto na jednej ze ścian wisiała drewniana półka, a w kącie stał żółty piec. Nie było tego dużo, ale na umieszczenie większej ilości sprzętów i tak nie pozwalały niewielkie rozmiary tej dziury.

Po wyjściu rano starałem się wracać tam jak najpóźniej. Siedziałem długo w czytelni, szedłem do kina, a najczęściej po prostu włóczyłem się po okolicy. Niedaleko stąd znajdowała się przedwojenna dzielnica willowa, pełna masywnych, nieco ponurych domów, ukrytych wśród wysokich drzew. Chodziłem tam często, przemykając się cichymi, mrocznymi uliczkami. Idąc zaś w przeciwnym kierunku, mijało się najpierw rozległy, otoczony parkanem, teren ogródków działkowych, by zaraz potem ujrzeć brzeg szerokiej, leniwie płynącej rzeki.

Właśnie nad rzeką, a dokładnie na starym, kamiennym moście łączącym jej brzegi, spotkałem raz niewidomego mężczyznę z dużym psem pełniącym rolę przewodnika. Pies był nieposłuszny, przystawał lub skręcał w nieodpowiednich momentach i zniecierpliwiony tym mężczyzna uderzył go w bok trzymaną w prawej ręce białą laską. W odpowiedzi pies podkulił ogon, przysiadł na chwilę, po czym, szarpnięty ostro za smycz, wstał i oddalił się razem ze swym panem.

Gdy w końcu wracałem późnym wieczorem, to gospodyni – stara, niechlujna baba o nazwisku Małecka – zazwyczaj już spała. Ostrożnie stawiając kroki, aby jej nie zbudzić, szedłem do swojego pokoju i jadłem kolację – prawie zawsze chleb z serem – słuchając cicho radia. Później myłem się szybko w zimnej wodzie i kładłem się do łóżka w oczekiwaniu na sen.

Siedzieliśmy we czwórce w kawiarni: Igor, Mirek, Tomasz i ja. Do piwa kelnerka podała nam obowiązkowe słone paluszki. Poznaliśmy się zaledwie dwa dni temu, podczas pierwszych zajęć. Na przyście tutaj namówił nas Igor; on też rozpoczął rozmowę.

- Dlaczego wybraliście akurat ten kierunek? - spytał, a w jego głosie pobrzmiwała jakaś mobilizująca i drażniąca nuta.

Nie miałem zamiaru odpowiadać, ale Igor utkwiał we mnie spojrzenie swych szaroniebieskich oczu. Bąknąłem więc coś o tym, że długo się namyślałem, aż zostało już niewiele czasu i musiałem dokonać jakiegoś wyboru. Bardziej satysfakcjonującej odpowiedzi udzielił Mirek.

- Ja już od dawna wiedziałem, co będę studiował – powiedział. - Dwa lata temu byłem tutaj na olimpiadzie i już wtedy wiedziałem, że to jest to, co mnie najbardziej interesuje.

W jego słowach nie było przesady. Poważne podejście do studiów, które owego dnia zadeklarował, znalazło odzwierciedlenie w długich godzinach, jakie spędzał w instytutowej czytelni, przygotowując się sumiennie do każdego zajęcia.

- A co zamierzacie robić potem? - spytał znowu Igor.

Mirek wzruszył ramionami, ale po kilku tygodniach było już prawie pewne, że marzy o pracy naukowej.

- Ja będę pracował u swojego ojca – oznajmił Tomasz. Pochodził z małego miasteczka, podobnie jak Mirek i ja. Jego ojciec był tam dyrektorem i obiecał mu załatwić jakąś posadę.

Potem rozmawialiśmy o zajęciach i o zadanych lekturach.

- Co ostatnio czytaliście? - nawiązał do tego tematu Igor.

- Celine'a – odparłem.

W odpowiedzi Igor zaczął mówić długo o Dostojewskim, a następnie o misji dziejowej Słowian.

- Zachód się przeżył – stwierdził. - Stracił siłę, impet. Nie ma już świata nic do zaoferowania. Teraz nadszedł czas na nas, Słowian.

- To panslawizm – powiedział Mirek. - To samo mówił Dostojewski.

- No i co z tego? - głos Igora zmienił się na bardziej zdecydowany.

- Minęło już tyle lat, a Zachód nadal ma się dobrze – nie ustępował Mirek i kłótnia rozgorzała na dobre.

I tak było już zawsze. Niekończące się spory i dyskusje, w których dominowało pragnienie wykazania za wszelką cenę własnej racji. Nieustanna rywalizacja prowadząca do kwestionowania każdej wypowiedzianej opinii i do atakowania każdego niebacznie ujawnionego poglądu. Początkowo myślałem, że ta prze-

można chęć postawienia na swoim, stwarzająca tak napiętą atmosferę, jest swego rodzaju "próbą sił" charakterystyczną dla dużej, nowo zebranej grupy osób, i że te wszystkie starania, aby uchodzić za inteligentniejszego, zdolniejszego, lepiej wykształconego i bardziej przedsiębiorczego niż inni tracą na znaczeniu, gdy już mniej więcej ustalą się pozycje w grupie. Czas jednak mijał, a sytuacja pozostawała bez zmian.

Pierwszoplanową postacią w tych sporach był Igor. Zdecydowany i pewny siebie swoje jasno sprecyzowane poglądy wypowiadał dobitnym tonem, akcentując zawsze ostateczne słowo w zdaniu. W jego obecności odczuwałem ciągłą presję, tak jakby wywierał na mnie jakiś nacisk. Nie potrafił nigdy pogodzić się ze sprzeciwem czy odmową, wszystko musiało zawsze przebiegać po jego myśli. Kiedy proponował na przykład pójście na wino, a ja mu odmawiałem twierdząc, że mam jeszcze w Mieście kilka spraw do załatwienia, zawsze nalegał, argumentując, że to potrwa tylko parę minut i jeszcze zdążę. Najczęściej się zgadzałem i szliśmy razem do kawiarni, by spędzić tam następne dwie lub trzy godziny, rozmawiając przy winie. Ale zdarzało się też, co prawda bardzo rzadko, że zaciąłem się w swoim uporze. Igor widząc, że nic nie wskóra poważniał wtedy na twarzy i, rozdrażniony, kwitował moją odmowę krótkim: "jak chcesz".

Nawet Mirek, główny oponent Igora, ulegał sile jego argumentów. Starał się jej przeciwstawić chłód i rozwagę swoich poglądów, opartych zawsze na znajomości rzeczy. W trakcie dyskusji jednak, zdeprymowany i z silnymi wypiekami na puchawatych policzkach, szybko się płątał i gubił, by w końcu bezradnie zamilknąć. Za to podczas zajęć, kiedy obowiązywały bardziej sprecyzowane reguły dyskusji, a nad jej przebiegiem czuwał arbiter w osobie prowadzącego, Mirek nie znajdował równorzędnych przeciwników. Gruntowna, szczegółowa wiedza, będąca rezultatem sumiennych studiów, którym oddawał się z prawdziwą pasją, robiła na wszystkich duże wrażenie i pozwoliła mu zyskać miano najzdolniejszego studenta na roku.

Mimo tej, zupełnie zasłużonej, opinii Mirek nie był typem prymusa poświęcającego każdą wolną chwilę nauce. Przekonałem się o tym pewnego listopadowego popołudnia, kiedy po skończonych zajęciach zaproponował mi pójście na piwo. Zjedliśmy jeszcze tani obiad w ciasnej stołówce studenckiej, gdzie Mirek żywił się regularnie, a ja od czasu do czasu, i byliśmy gotowi.

Wybór nasz padł na bar w starej części Miasta. Ulice były tutaj wąskie i rozkopane, a z uchylonych bram wysokich, obskurnych kamienic, dawnych czynszówek, dochodziła woń moczu. Gdzieniedzie, na małych, ubitych podwórkach, bawiły się hałaśliwe gromadki obszarpanych dzieci.

Na schodach przed barem siedział zamroczony alkoholem mężczyzna i oddawał mocz przez spodnie. Ominęliśmy go i weszliśmy do środka. Uderzył nas duszny zapach dymu papierosowego połączony z kwaśną wonią taniego piwa i gwar wielu równocześnie prowadzonych rozmów. Mimo stosunkowo wczes-

snej pory bar był pełen ludzi. Z trudem znaleźliśmy w rogu jakieś stojące miejsca przy wysokim stoliku z lepkiem blatem. Mirek przyniósł w kufiach piwo wraz z obowiązkową zakąską – umieszczonym na talerzyku podłużnym kawałkiem starego żółtego sera. Gdy po opróżnieniu kufli nadal miało się pragnienie, należało odnieść puste naczynia do lady. Tam, w zamian za drobną opłatę, gruba pani w zszarzałym fartuchu podawała nowe, napelnione kufle i kolejną porcję zakąski. Po godzinie każdy z nas miał trzy talerzyki z posypanym papryką kawałkiem żółtego sera. W takiej sytuacji brało się owe talerzyki i razem z kufkami zanosilo do zwrotu. Robili tak wszyscy. Kobieta za ladą odnosiła się ze zrozumieniem do tego procederu. Brała od nas nieskonsumowane zakąski, by już po chwili wręczyć je – w zamian za drobną opłatę oczywiście – innym klientom. W ten sposób nieśmiertelny kawałek zeschniętego żółtego sera, sprzedawany dziesiątki razy, krążył całymi dniami po sali.

Mirek miał mocną głowę, ale mi po wypiciu siedmiu piw zrobiło się niedobrze. Chwiejnym krokiem poszedłem do niezbyt czystej ubikacji i zwymiotowałem. Staruszka przy drzwiach spojrzała na mnie nieufnie.

- Płacić, płacić – ponaglała.

Dałem jej monetę i uważając, aby nikogo nie potrącić wróciłem do Mirka.

Robiło się coraz tłoczniej. Do stałych bywalców, przesiadujących tu od południa, dołączali stopniowo nowi – w przeważającej części robotnicy, usiłujący uciec od nudy jesiennego wieczoru. Hałas w piwiarni wzrastał z każdą chwilą.

- No powiedz Marian, czy to jest w porządku, czy to jest w porządku? - dopytywał się ktoś bełkotliwym głosem przy stoliku obok.

Wyszliśmy na zewnątrz. Niedaleko baru pijana kobieta szarpała za kołnierz płaszcza słaniającego się mężczyznę. Dobiegły mnie jej słowa:

- Jasiu, ty wiesz, co ty teraz jesteś? Wiesz? Świnia jesteś, gnój! Wiesz, co ci teraz zrobię? Napluję na ciebie – splunęła. - Naplułam.

Obok stał drugi mężczyzna i przyglądał się obojętnie całemu zajściu.

Poszliśmy dalej. Nie czułem się najlepiej. Bolała mnie głowa i było mi niedobrze. Na moją prośbę usiedliśmy na niskim, kamiennym murku. Chciało mi się spać. Ale, gdy tylko zamknąłem oczy, świat zaczął wirować w mojej głowie, coraz szybciej i szybciej, niczym rozpędzona karuzela. Wstałem i opróżniłem pod murkiem pęcherz, przy okazji powtórnie wymiotując.

Mirek odprowadził mnie na przystanek tramwajowy i tam rozstaliśmy się. Zostałem sam. Musiało już być po północy, kiedy podeszło do mnie dwóch milicjantów.

- Dowód poproszę – powiedział jeden z nich.

Długo i starannie przeglądał cienki dokument, szukając adnotacji o zatrudnieniu. W końcu zapytał:

- Co, nie pracujemy?

- Nie, studiuje – odparłem.

- Legitymację! – zażądał.

Podąłem mu legitymację studencką. Obejrzał ją, po czym rzekł nagle rozkazującym tonem:

- Rozepnij kurtkę!

Rozpiąłem szybko guziki.

- Rozchyl ją!

- Co mam zrobić? - spytałem zdezorientowany, nie wiedząc czego właściwie chce.

- Rozchyl kurtkę! - powtórzył.

Obrzucił mnie badawczym spojrzeniem, sprawdzając czy nie ukrywam pod kurtką jakichś papierów, a potem wzrok jego padł na przewieszoną przez moje ramię torbę, w której miałem parę zeszytów i wypożyczone z biblioteki książki.

- Co tam masz w środku? - spytał.

- Nic takiego – odparłem. - Zeszyty, książki...

- Pokaż!

- A macie nakaz? - zażartowałem.

Drugi milicjant, stojący dotąd w milczeniu, spojrział na mnie i kładąc dłoń na biodrze, powiedział:

- Chodź do bramy, to ci kurwa damy nakaz.

Po kilku minutach siedziałem już na końcu jasno oświetlonego wagonu, próbując walczyć z ogarniającą mnie sennością. Na następnym przystanku do tramwaju wszedł starszy, schludnie ubrany mężczyzna i podsunął mi pod oczy tekturową kartkę, na której starannym pismem było napisane, że jest głuchoniemy i prosi o jakiś datek. Dałem mu wygrzebany z kieszeni banknot o jednym z najniższych nominałów. Mężczyzna oczekiwał chyba większej hojności, spojrział bowiem na banknot z najwyższym zdumieniem. Sprawiał wrażenie człowieka podstępnie oszukanego. Zawahał się jeszcze przez moment, po czym machnął zniechęcony ręką i odszedł w głąb wagonu, zostawiając mnie samego.

Zaraz potem zasnąłem.

Spośród wszystkich osób na roku najczęściej oprócz Mirka głos zabierał Adam – wysoki, zwalisty chłopak, będący, podobnie jak Igor, mieszkańcem Miasta. Wykorzystywał każdą okazję, aby dać popis swej erudycji. Z jego ust wydobywał się wtedy potok słów wypowiedzianych niskim, nieco nosowym głosem, zalewając sale podczas zajęć, korytarze w czasie przerw, wnętrza kawiarni i wszystkie inne miejsca, gdzie tylko mógł znaleźć jakieś audytorium. Wypowiadał się na każdy możliwy temat, bowiem, w przeciwieństwie do Mirka, charakteryzowała go różnorodność zainteresowań. Dzięki tej właściwości – będącej jakby próbą zaspokojenia niezwykle chłonnego i łaknącego wciąż nowych informacji umysłu – Adam zdołał osiągnąć rozległą wiedzę. Była to jednak wiedza naznaczona piętnem powierzchowności, gdyż Adam, ulegając kaprysom swego pobudliwego umysłu, wciąż zmieniał przedmiot zainteresowań. W swej nieśtałości przypominał mi dziecko zmieniające swą zabawkę na inną, bardziej błyszczącą, zachowywał się bowiem podobnie - natychmiast porzucał dotychczasowy, jeszcze świeży, przedmiot studiów, gdy tylko odkrył, że jakaś nowa dziedzina wiedzy bardziej go pociąga.

Ten rys dziecinności był zresztą charakterystyczny dla całej natury Adama, zupełnie jakby nadmierna wybujałość jego umysłu pociągnęła za sobą pewną emocjonalną niedojrzałość. Nie mogłem się pogodzić z faktem współistnienia w jednym człowieku dwóch tak różnych stron jego osobowości i przez dość długi czas podejrzewałem Adama o prowadzenie swego rodzaju wyszukanej gry z otoczeniem, bądź to w celu ukrycia pod maską dziecka – z jakichś nieznanych mi powodów – swej prawdziwej natury, bądź też dla zwykłej przyjemności. Pragnąłem zderzyć z niego tę drażniącą mnie zasłonę infantylności i sprawić, by wreszcie się odkrył. Ale poznając go coraz lepiej, doszedłem do wniosku, że nie warto, że nawet gdyby mi się udało zderzyć z niego tę, jak mniemałem, maskę, to poza nią po prostu nie byłoby nic.

Moje kontakty z większością osób na roku były bardzo powierzchowne i ograniczały się przeważnie do krótkich, zdawkowych rozmów prowadzonych w przerwie zajęć. Wiele czasu natomiast poświęcałem nauce, bo choć kierunek studiów wybrałem dość przypadkowo, to uczenie się, przyswajanie sobie nowych porcji wiedzy sprawiało mi dużą satysfakcję. Godzinami przesiadywałem więc w czytelnicy, czytając zadane lektury, chodziłem sumiennie na wszystkie wykłady, robiąc obszernie, szczegółowe notatki, a wieczorami, w swoim pokoju, przygotowywałem się na najbliższe ćwiczenia. Prawie cały wolny czas, jaki mi jeszcze pozostawał, spędzałem samotnie, niekiedy tylko idąc z kimś do kawiarni lub oglądając u Adama jakiś ciekawszy program w telewizji. Zauważyłem, że ta sporadyczność i powierzchowność wzajemnych kontaktów jest nie tylko moim udziałem, lecz stanowi główną cechę określającą charakter stosunków panujących na roku. Być może winę za to ponosiła nasza dojrzałość, obciążająca nas pokaźnym bagażem doświadczeń i znacznie utrudniająca pokonywanie istniejących między nami barier, konieczne przecież dla osiągnięcia najniższego chociaż stopnia zażyłości. Dlatego też brak w moim nowym otoczeniu czegoś, co można by określić jako przyjaźń lub chociażby jej załączek szybko przestał mnie dziwić.

Któregoś chłodnego wieczoru, już pod koniec listopada, po dwóch godzinach spędzonych u Adama wy-

szedłem na ulice Miasta. Padający od rana deszcz skłaniał do pośpiechu, skuleni z zimna przechodnie przemykali więc szybko chodnikami, ściskając w dłoniach końce parasoli. Zbliżając się jednak do najbliższego skrzyżowania, zauważyłem z daleka grupę kilkunastu osób przyglądających się czemuś z zainteresowaniem. Podchodząc jeszcze bliżej, zobaczyłem stojący wszerz ulicy samochód i leżącą obok krawężnika starszą kobietę. A więc wypadek. Jest sprawca, jest poszkodowana, jest też i publiczność pod postacią ożywionych przechodniów, chciwie chłonących wydarzenia przez ten krótki czas pozostały jeszcze do przyjazdu karetki pogotowia.

Obrażenia spowodowane uderzeniem samochodu nie były zbyt poważne, gdyż będąca w centrum zainteresowania kobieta poruszała rękami i tułowiem. Wstać jednak nie mogła – jej bezwładne nogi były bezużyteczne. Nie chcąc jednak leżeć na mokrym asfalcie, tuż obok rozrastającej się kałuży, a nie mogąc usiąść z powodu bólu nóg, kobieta przyjęła pozycję półleżącą, unosząc i nieco okręcając tułów i wspierając się na jednym łokciu. Było to wszystko, co mogła zrobić.

Rozciągnięta na ulicy postać skupiała na sobie uwagę coraz większej liczby ludzi, którzy nie bacząc na padający deszcz gromadzili się wokół. Z dachów domów, z przejeżdżających obok ze zgrzytem jaskrawo oświetlonych tramwajów, a także z trzymany nad głowami parasoli kapąły duże krople wody. Mokre kosmyki włosów oblepiły twarz kobiety, a szybko powiększająca się kałuża swym zasięgiem objęła już brzeg jej płaszcza. Spoczywała tak zupełnie sama na mokrej ulicy, wśród obserwującej ją z pewnej odległości grupy gapiów, niczym zwierzę w klatce, budzące jednocześnie ciekawość i obawę, nie pozwalającą zbliżyć się z nadto.

Pomyślałem sobie, że trzeba by podejść do leżącej kobiety i dać jej swój parasol, aby już więcej nie mokła. Dziwiło mnie, że nikt spośród przypatrujących się zdarzeniu ludzi dotychczas tego nie uczynił. W ostateczności można by przecież trzymać parasol nad głową kobiety, chroniąc ją w ten sposób równie skutecznie przed deszczem. Byłoby to nawet rozwiązanie lepsze, gdyż ranna, spoczywając w niewygodnej pozycji, z pewnością nie zdołałaby sama utrzymać parasola w dłoni. Pozostawało więc tylko podejść do kobiety i przez chwilę stać z wyciągniętym nad jej głową parasolem. Nie zdobyłem się jednak na to. Może wokół było zbyt wielu ludzi i nie chciałem na ich oczach współuczestniczyć w czymś nieszczęściu, a może deszcz już przestał padać – nie wiem. Nie czekając na przyjazd karetki, odwróciłem się i odszedłem.

Przez pierwsze dwa miesiące studiów bardzo rzadko odwiedzałem swoich nowych kolegów. Nie licząc "telewizyjnych" wizyt u Adama, zdarzyło mi się to właściwie tylko raz. Spędziłem wtedy część nocy na zakrapianym suto alkoholem spotkaniu, które zorganizował mieszkający w akademiku Mirek. W grudniu jednak zupełnie niespodziewanie i jakby mimochodem, podczas krótkiej rozmowy na przerwie, zaprosił mnie do siebie Jarek – najbardziej nielubiana osoba na roku. Był to chłopak nieco starszy od nas wszystkich, niski, szczupły, o krótkich, przylizanych włosach. Zawsze starannie ogolony pachniał mocno wodą

kolońską. Nosił zaprasowane w kant spodnie oraz koszule ze sztywnym kołnierzykiem, co było raczej rzadkością wśród mężczyzn w jego wieku. Do otoczenia odnosił się lekceważąco i z nieukrywaną wyższością, wskutek czego zyskał sobie na roku prawie samych wrogów. Nie wiedzieć czemu mnie akurat traktował z przyjazną pobłażliwością. Dlatego też jego propozycja odwiedzin nie była dla mnie całkowitym zaskoczeniem.

Pasją Jarka były pieniądze. Zdawał sobie sprawę, że mimo swego wymuszanego wyglądu nie podoba się kobietom. Ale pieniądze mogły według niego to zmienić.

- Jestem brzydki – powtarzał za kimś – ale mam pieniądze. Mogę więc kupić sobie każdą kobietę. A więc jestem piękny. Bogactwo czyni mnie pięknym.

To pieniądze decydowały o prestiżu człowieka, zyskiwały mu szacunek i powodzenie. Posiadały jakby moc stwórczą, obdarzając tego, kto je miał zaletami, których w przeciwnym razie byłby pozbawiony: urodą, talentem czy mądrością. Ale zarazem pieniądze były w mniemaniu Jarka czymś znacznie więcej, a mianowicie czymś na kształt zasady organizującej świat i umożliwiającej wydzielenie spośród podającego się wpływom mody pospólstwa wąskiej elity hołdującej tradycyjnym wartościom i chadzającej regularnie do opery.

Nic dziwnego, że mając takie poglądy, Jarek marzył o zrobieniu wielkiego interesu, który urządziłby go na całe życie. Chciał za jednym zamachem wzbogacić się, rzucić studia i nigdy nie pracować. Na razie jednak zajmował się drobnymi oszustwami, nie przynoszącymi jego zdaniem spodziewanych zysków. Widziałem go raz, jak stał przed jednym z banków i pytał cichym głosem ludzi wchodzących do środka czy "mają coś do sprzedania". W ten sposób musiał mimo wszystko zarabiać dość dużo, stać go bowiem było na wynajmowanie w centrum Miasta dwupokojowego mieszkania, za które opłatę uiszczał właścicielowi w dolarach, a także na jądanie obiadów w drogich restauracjach. Nie do pomyslenia było dla niego mieszkanie w czteroosobowym pokoju w akademiku lub pójście do baru.

Kiedy go odwiedziłem pewnego grudniowego popołudnia pokazał mi przywiezione z Zachodu – dokąd wybrał się, aby sprzedać jakieś przemycone stare monety czy znaczki – czasopisma pornograficzne. Zaczekały mnie, ale jednocześnie krępowała mnie jego obecność. Nigdy nie lubiłem tej zażyłości, jaka powstaje między mężczyznami oglądającymi wspólnie filmowe sceny erotyczne lub chociażby zdjęcia rozebranych kobiet. Wolałem związane z tym emocje przeżywać w samotności, bez wymiany niepotrzebnych uśmiechów, porozumiewawczych spojrzeń i znaczących uwag.

Jarek przyjrzał mi się uważnie i powiedział:

- Mogę ci kilka pożyczyć.

- Nie, nie trzeba – odparłem.

- Naprawdę. Mam jeszcze inne - otworzył szafkę i ruchem głowy wskazał na stos pornograficznych czasopism.

Po krótkim wahaniu zgodziłem się. Chciałem się już pożegnać, ale ten mały cwaniak zatrzymał mnie mówiąc:

- Poczekaj, coś ci jeszcze pokażę.

Zgasił światło, odsunął firankę i podał mi wyciągniętą z szafki lornetkę. Było już późne popołudnie i większość okien w bloku naprzeciwko jaśniało ostrym blaskiem.

- Popatrz tam – powiedział, wskazując na jedno z nich. – To pokój jakiejś młodej panienki. Nigdy nie zasłania okna, kiedy się przebiera.

Przez lornetkę widać było wyraźnie postać dziewczyny chodzącej z konewką po pokoju i podlewającej kwiaty. Gdybym był sam, to zapewne obserwowałbym ją każdego wieczoru, towarzysząc jej już od chwili powrotu ze szkoły. Moja obecność nie zostałaby nigdy odkryta, lornetka bowiem to współczesna wersja czapki niewidki: można dzięki niej uczestniczyć w czyimś życiu, samemu pozostając niezauważonym. I nie miałyby znaczenia czy dziewczyna akurat czyta książkę, czy też chodzi po pokoju w przepuszczającej światło nocnej koszuli. Liczyłoby się tylko to, że cały czas jestem tam, razem z nią, a ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

Po powrocie do swojego pokoju przejrzałem pożyczone od Jarka czasopisma. Zawierały zdjęcia nagich, pięknych kobiet o gładkiej skórze i białych zębach. Niektóre z nich, rozchylając nogi, patrzyły wprost w obiektyw, inne uśmiechały się i było w nich coś, co mnie raziło, wręcz odpychało, jakaś nadmierna uległość i zbyt daleko idące przyzwolenie...

Rano, po wyjściu z domu, na mokrym od deszczu trawniku znalazłem rannego psa. Leżał nieruchomo z zakrwawionym bokiem, tuż przy ruchliwej ulicy, i tylko czasami na krótko podnosił głowę, spoglądając przed siebie niewidzącym wzrokiem. Jego duże, zamglone oczy jakby zapadały się w głąb. Była w nich świadomość bliskiego końca.

A potem spadł śnieg, pokrywając całe Miasto cienką, białą warstwą.

Z chwila nadejścia zimy Małecka znalazła osobliwy sposób, aby sobie trochę dorobić. Wstawiała o czwartej rano, gotowała cały kocioł herbaty i sprzedawała ją, jeszcze gorącą, zmarzniętym rolnikom na placu targowym. Herbatę przed zanieśieniem na plac trzeba było przelać do nieskończonej ilości butelek; codziennie wczesnym rankiem budził mnie więc hałas tłuczonego i obijającego się o siebie szkła, dobiegający z sąsiadującej z moim pokojem kuchni. Próbowałem jakoś temu zaradzić, zatykając sobie uszy watą, ale wobec metalicznego dźwięku uderzanych o siebie butelek nie na wiele się to zdało.

Wieczorem stara pytała się mnie nieodmiennie z wymuszonym uśmiechem: "zbudziłam pana rano?", na co odpowiadałem, że nie.

Małecka dorabiała sobie jeszcze w inny, równie pomysłowy sposób – handlowała mianowicie wódką. Czasami, gdy nie było jej w domu, przychodzili jacyś obszarpani mężczyźni – najczęściej przyjezdni z placu – i pytali się mnie czy "mam coś?". Nie wiedziałem o co im chodzi, ale cała sprawa wydała się

pewnego ranka, dwa tygodnie przed Świętami Bożego Narodzenia. Tego dnia zajęcia na uczelni rozpoczęnały się nieco później, spałem więc dłużej niż zwykle. Obudziły mnie, dobiegające z przedpokoju, odgłosy kłótni.

- Czego chcesz ode mnie? - krzyczała Małecka. - Wynoś się stąd!

- Ty stara kurwo! - odwrzaskiwał jej jakiś męski głos. - Ja cię jeszcze urządzę! Zobaczysz. Zobaczysz. Będę ci pluł w gębę jak świni w dupę!

Ubrałem się szybko i czekałem, mając nadzieję, że przeniosą się do pokoju starej, dając mi tym samym sposobność cichego wymknięcia się na zewnątrz. Nie miałem zamiaru wtrącać się do ich sprzeczki. Oni jednak wrzeszczeli na siebie coraz bardziej. Mężczyzna oskarżał Małecką o to, że oszukała go przy sprzedaży wódki i domagał się od niej zwrotu pieniędzy. Ta stanowczo odmawiała, zapierając się wszystkim. W pewnej chwili usłyszałem odgłosy szamotaniny, a zaraz potem następujące po sobie uderzenia. To amator alkoholu okładał starą pięścią po twarzy. Gdy wyszedłem z pokoju wydawał się być zaskoczony moją obecnością. Małe oczka rozbiegły mu się niespokojnie, a złość ustąpiła miejsca zdziwieniu. Nie miałem kłopotów z wyrzuceniem tego człowieczka o wykrzywionej twarzy za drzwi.

Opuchnięta Małecka zamierzała początkowo oddać sprawę do sądu. Nie zrobiła jednak tego z obawy, że przy okazji wyjdą na jaw wszystkie jej kanty.

Niebawem nadeszły święta i wyjechałem do domu. Miałem nadzieję, że do czasu mego powrotu wszystko się jakoś ułoży. Zbliżała się sesja egzaminacyjna i do końca stycznia musiałem zebrać zaliczenia ze wszystkich przedmiotów. Zależało mi więc bardzo na spokoju i możliwości nauki. Niestety, po powrocie dość szybko przekonałem się, że jest jeszcze gorzej niż zwykle.

Wkrótce po Nowym Roku chwyciły wielkie mrozy. Nocą temperatura spadała do trzydziestu stopni poniżej zera. Przepływającą przez Miasto rzekę pokrył lód, po którym spacerowały ptaki. Parę dni później do znajdującego się na ostatnim piętrze mieszkania Małeckiej przestała dochodzić woda. Powodem tego były zamrożone rury. Trzeba było schodzić z wiadrem na parter i prosić o wodę sąsiadów. Ci uchylali nieufnie drzwi, brali wiadro i na czas jego napełnienia zostawiali mnie na zewnątrz. Sytuacja zatem, mimo wszystko, nie była aż tak zła. Wkrótce jednak od początku wątpliwa życzliwość sąsiadów wyczerpała się zupełnie i odtąd nawet umycie rąk stanowiło poważny problem.

Na domiar złego zniechęcona pogarszającymi się warunkami mieszkaniowymi Małecka znikła gdzieś na tydzień, zabierając przy okazji klucze od piwnicy. Nie miałem możliwości uzupełnienia skąpego zapasu węgla, jaki mi pozostał i przestałem palić w piecu. W ciągu doby temperatura w pokoju spadła o prawie dziesięć stopni. Wieczorami siadałem przy stole ubrany w koszulę i dwa swetry i próbowałem się uczyć. Następnie, nie rozbierając się wcale, kładłem się do łóżka. Gdy w końcu udawało mi się zasnąć, budziło mnie późną nocą ciche pukanie do drzwi wejściowych. Właściwie nie pukanie, tylko coś jakby proszące skrobanie. Domyślałem się, że to klienci Małeckiej i nie otwierałem. Pukanie jednak nie ustawało, a po chwili docierały do mnie odgłosy lekko poruszanej klamki u drzwi. Resztę nocy spędzałem zawsze zdrętwiały ze strachu i zimna.

Wreszcie nastąpiła odwilż. Wskazywał na to stan chodników pokrytych grubą warstwą błota. Zima jednak nie ustępowała, sypiąc jeszcze świeżym śniegiem. Widoczne w świetle lamp duże, białe płatki opadały ciężko, topniejąc natychmiast po zetknięciu się z ziemią. Był już wieczór, gdy wyszedłem z czytelnicy. Aby zrobić zakupy, musiałem pójść do czynnego dłużej niż pozostałe sklepy domu towarowego, niedaleko stąd.

Główne ulice były jeszcze wypełnione ludźmi – szli szybko, potrącając się wzajemnie – ale wiedziałem, że za godzinę, najdalej za dwie, Miasto opustoszeje.

Po drodze minąłem starą kobietę: stała w zaułku chodnika i powtarzała cichym, zawstydzonym głosem:

- Proszę o wspomnienie.

Na jej włosach osiadały płatki śniegu.

W domu handlowym, u podnóża schodów wiodących na piętro, siedział brudny, zarośnięty mężczyzna. Przed nim stało tekturowe pudełko z kilkoma monetami w środku. Patrzyłem na jego poszarpane ubranie, zmęczoną twarz i mimowolnie zwolniłem kroku. Moje wahanie wzbudziło w nim nadzieję, gdyż spojrzał na mnie z prośbą w oczach. Szybko jednak opanowałem się i, spuściwszy wzrok, przeszedłem obok niego

Przy stoisku z pieczywem ktoś wymówił głośno moje imię. Był to Mariusz – przyjaciel z liceum.

- Co u ciebie? - spytał z uśmiechem. - Nie widzieliśmy się chyba ze sto lat.

- W porządku – odparłem.

- Jak ci idzie sesja?

- Jeszcze nic nie zdawałem, a ty?

- Ja już mam to za sobą – powiedział. - Trzy egzaminy.

- Tak szybko? - zdziwiłem się.

- Dwa w styczniu, a wczoraj ostatni.

- To świetnie. Trzeba by to oblać – stwierdziłem.

Po kilku minutach wyszliśmy ze sklepu z dwiema butelkami taniego, słodkiego wina, kierując się w stronę pobliskiego parku. Ponieważ ławki były mokre, stanęliśmy koło jednej z nich i wypiliśmy po dużym łyku. Mariusz studiował na innej uczelni i podobnie jak ja wynajmował pokój gdzieś na peryferiach. Rozmawialiśmy o nauce, o nowych znajomościach, o miejscach, gdzie teraz mieszkaliśmy.

- Mam dosyć tej starej – powiedziałem, mając na myśli Małecką. - Muszę się stamtąd wyprowadzić.
- Nie jest łatwo o pokój – zauważył Mariusz.
- Coś na pewno znajdę – rzekłem, dodając po chwili: - Cholera, kiedyś było inaczej. Człowiek nie przejmował się takimi sprawami.
- Bo go bezpośrednio nie dotyczyły – powiedział Mariusz. - Mieszkało się z rodzicami i pieniądze czy dach nad głową nie stanowiły problemu. A teraz to co innego.
- Tak – zgodziłem się. – Teraz to co innego.

Napiliśmy się znowu, opróżnioną butelkę rzucając w mokry śnieg. Wino nie było zbyt dobre, poprawiło nam jednak nastroje i wywołało falę wspomnień. Nasza ożywiona pamięć wydobyła z mroku twarze dawno niewidzianych kolegów, fragmenty rozmów, obrazy wspólnie odwiedzonych miejsc i szereg rozmaitych, mniej lub bardziej zabawnych, wydarzeń. Jednak wszystko to nosiło obecnie piętno czegoś dawno minionego i przebrzmiałego, zupełnie jakbyśmy wspominali czasy, o których doskonale wiedzieliśmy, że mimo całego ich uroku już nigdy nie powrócą. Obaj zdaliśmy sobie sprawę, że nasze drogi się rozeszły i nie łączy nas już nic, prócz blednącej z każdym dniem przeszłości. Ów lutowy wieczór rozwiął co do tego wszelkie wątpliwości, pokazując jak odległe od siebie są nasze obecne zainteresowania i problemy. Tak jakby dotąd zbliżało nas do siebie jedynie środowisko, w którym wspólnie przebywaliśmy, szkoła, krąg przyjaciół, a gdy tej płaszczyzny zabrakło, przestaliśmy mieć ze sobą cokolwiek wspólnego.

Było już dość późno, gdyśmy się rozstawali. Śnieg wciąż padał, oblepiając konary drzew. Mariusz dał mi karteczkę, na której napisał swój aktualny adres.

- Odwiedź mnie koniecznie – powiedział na koniec.
- Dobrze – odparłem, choć wiedziałem, że nie uczynię tego nigdy.

Tej nocy długo jeszcze włóczyłem się po opustoszałych ulicach Miasta, aż wreszcie trafiłem na dworzec kolejowy. Głód coraz bardziej dawał mi się we znaki, a za tę niewielką ilość pieniędzy, jaka mi pozostała można było kupić coś do jedzenia jedynie w tanim barze dworcowym.

Miasto o tej porze wyglądało jak wymarłe. Pozamykane sklepy, kawiarnie, restauracje; ciemne okna mieszkań i brak ruchu na ulicach. Ale ta ogarniająca wszystko senność była złudzeniem. Wystarczyło tylko zanurzyć się w mrok, aby odnaleźć miejsca, gdzie życie toczyło się nadal, dopiero teraz, w nocy, nabierając pełnego wyrazu. Tanie hotele, meliny, bramy starych kamienic, podwórka, niektóre ulice i parki; a przede wszystkim dworzec, dokąd pod osłoną nocy ściągali bezdomni włóczędzy, zwabieni panującym

tam ciepłem.

Niektórzy z nich siadali na drewnianych ławkach w dużym, jasno oświetlonym holu i wyciągali z przepastnych kieszeni znalezione na śmietnikach resztki jedzenia. Potem opatulali się w swoje cuchnące szmaty i zasypiali. Inni, bardziej wytrwali, przemierzali dworcowe bary, wyjadając resztki z niesprzątniętych przez obsługę talerzy lub spijając ciemne piwo z piętrzących się na stołach kufli.

Prawie w całym holu panował nieprzyjemny zapach. Z pomieszczeń barowych rozchodziła się drażniąca woń gotowanego bigosu i flaków. Nie mogąc już dłużej wytrzymać, przemogłem się i wszedłem do ubikacji, w jednej chwili przesiąkając ostrym zapachem środka odkażającego. Mężczyzna przy pisuarze obok przyglądał mi się, nie potrafiąc ukryć ciekawości. Spojrzałem na niego i w pośpiechu wyszedłem.

Po chwili byłem już na zewnątrz, centrum nocnego życia w Mieście mając poza sobą. Przywitał mnie chłodny, orzeźwiający mrok. Jakiś zarośnięty starzec wygrzebywał z kosza na śmieci niedopałki papierosów. W spojrzeniu, którym mnie obrzucił, nie było lęku. Duży, podświetlany zegar na ścianie budynku dworcowego wskazywał godzinę drugą w nocy. Do domu miałem kawał drogi, ale nie liczyłem na tramwaj o tej porze. Główna aleja Miasta była zupełnie pusta. Przeszedłem na jej drugą stronę, by po kilku krokach skręcić w małą, nieoświetloną uliczkę. Można tam było spotkać prostytutki. Lubiły to miejsce, bowiem znajdowało się w pobliżu dworca i hoteli z zaprzyjaźnionymi portierami, a ponadto nie rzucało się w oczy. Teraz też stało ich kilka, tuż obok uchylonych bram kamienic. Jedna z nich była w ciąży, ale pracowała nadal. Ustami.

cdn.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

andres, dodano 08.10.2020 09:51

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.